

Przyczynek do sławy polskich arabów

W kwietniowym numerze „Przeglądu Hodowlanego” J. Łojek w interesującym artykule „Zmiany w pogłowie i hodowli koni ras krajowych w latach 1989-1999” pisze m.in. „Wprowadzenie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zasad gospodarki rynkowej, uwolnienie cen, otwarcie granic spowodowało zmiany w wielu dziedzinach życia gospodarczego, także w hodowli koni” i dalej czytamy: „Okretem flagowym” polskiej hodowli, i to nie tylko koni, lecz wszystkich zwierząt gospodarskich, jest od lat hodowla koni czystej krwi arabskiej. Świadczy o tym utrzymujący się wciąż na wysokim poziomie eksport koni hodowlanych. Hossa lat 80., kiedy nasze araby osiągały na aukcjach zawrotne ceny, była ewenementem. Obecnie, choć ceny spadły wielokrotnie i stały się bardziej realne oraz odpowiednie do podaży i popytu, sumy uzyskiwane za polskie araby są relatywnie duże, co świadczy o utrzymującym się wysokim poziomie hodowli i sprostaniu wysokim wymaganiom rynku. Głównym twórcą sukcesów polskich arabów w świecie i niekwestionowanym autorytetem w hodowli koni tej rasy był zmarły w 1998 roku dyrektor SK Janów Podlaski, Andrzej Krzyształowicz.”

Święte słowa. Nic dodać, nic ująć. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że zamykanie granic odbywało się i nadal jest praktykowane nie tylko z przyczyn politycznych, lecz także ekonomicznych, a ściślej z obawy o przeniesienie niektórych chorób ludzi i zwierząt. Dotyczy to obrotu i handlu zwierzętami oraz surowcami bądź produktami pochodzenia zwierzęcego. Chciałbym przypomnieć okres nieco wcześniejszy niż ten, o którym pisze autor, a mianowicie początek lat siedemdziesiątych, kiedy to w państwach europejskich w 1971 roku zarejestrowano prawie 19 tys. ognisk pryszczycy. Wówczas na wniosek Departamentu Weterynarii rząd podjął decyzję o całkowitej blokadzie naszych granic dla ruchu ludzi i zwierząt. Życie wymagało jednak pewnych ustępstw, czego nie dało się przewidzieć we wcześniejszych zapisach. Ryzykując bardzo wiele, wprowadzano stopniowe łagodzenie zakazów.

Strach nie mógł być jedynym motywem działania. Jeden epizod z tamtych dni opisałem po latach na łamach „Centaura Lubuskiego” i ośmielałem się go przy tej okazji powtórzyć. Cytuję: „W okresie, kiedy obowiązywał zakaz przekraczania granicy przez mieszkańców państw sąsiadujących z Polską, a także i niektórych innych (np. Węgry) zdarzały się przypadki, które należało indywidualnie rozpatrywać, a czego nie zapisano we wcześniejszych dokumentach.

Miałem wyjątkowo trudny dzień, wróciłem do domu około 19⁰⁰, zdążyłem zjeść obiad, kiedy zadzwonił telefon. Głos telefonistki z międzymiastowej w słuchawce sprawdził numer mojego telefonu, a następnie oznajmił, że łączy ze mną na hasło „ratunek” rozmowę z Katowicami. Wojewódzki lekarz weterynarii, dr Kazimierz Goliszewski z właściwą sobie elegancją przeprosza za zawracanie głowy, ale ma problem, prosi o radę i decyzję. Informuje mnie, że na przejściu granicznym w Cieszynie nasza kontrola zatrzymała samochód osobowy i czterech obywateli USA, którzy podróżują z Węgier do Warszawy. Tłumaczą, że jadą do Polski na aukcję koni arab-

skich, która rozpoczyna się jutro w Janowie Podlaskim. Mają zamówiony hotel w Warszawie. Wiemy, tłumaczył mi kolega Kazimierz, że sytuacja epizootyczna na Węgrzech jest bardzo groźna. Zapytałem czy ustalono, że ci amerykańscy pasażerowie byli gdzieś poza Budapesztem, w jakimś gospodarstwie bądź w rejonie, gdzie występuje pryszczycza, czy tylko w jakiejś stadninie koni. Nie chcemy nikomu przysparzać kłopotów, ale oni muszą zrozumieć naszą sytuację.

Nie stosujemy zakazów tylko dla samych siebie i własnego widzimisię. Jeżeli za trzy dni po ich przyjeździe wybuchnie gdzieś u nas, co nie daj Boże, ognisko pryszczycy, to przecież Pana i mnie oskarżą o lekceważenie tego, co sami wprowadziliśmy. „Wszystko zależy od Pana Dyrektora” – usprawiedliwiał się kolega Goliszewski. Rozmowa przeciągała się. Po chwili namysłu odpowiedziałem: Jeżeli ci Amerykanie złożą oświadczenia, że nie byli na Węgrzech w żadnym rejonie zakazonym pryszczycą, to możecie ich przepuścić, po uprzedniej dezynfekcji samochodu, rąk i obuwiu. Jeżeli będą inne wątpliwości, to dajcie mi znać jeszcze dzisiaj, ja najwyżej zablokuję gości w hotelu w Warszawie.

Z Katowic nie było telefonu, natomiast dnia następnego około godziny 18¹⁵ w moim gabinecie przy Wspólnej 30 zadzwonił telefon, a sekretarka, pani Urszula, poinformowała, że łączy rozmowę z Ambasadą Amerykańską. Znała mi sympatyczna pani Szaniawska zapytała grzecznie, czy mogę za pół godziny przyjąć na parę minut dwóch obywateli USA, gdyż mają do mnie bardzo ważną i pilną sprawę. Odpowiedziałem – bardzo proszę, czekam. Za mniej niż pół godziny sekretarka poinformowała, że mam gości. W drzwiach mojego pokoju zobaczyłem znaną mi osobę, Leona Rubina – właściciela firmy importującej szynki z Polski do USA, a obok niego radcę Ambasady USA w Warszawie i panią Szaniawską. Pan Leon Rubin oświadczył, że przyszedł nie tylko mi podziękować, lecz także wyrazić uznanie dla polskich weterynarzy za uśmiech, fachowość i dyscyplinę. Panie dyrektorze – mówił Rubin, jak ja usłyszałem przez otwartą szybę samochodu rozmowę pańskich pracowników wczoraj wieczorem na granicy, którzy mieli wątpliwości, a jeden z nich powiedział, że trzeba zadzwonić do dyrektora Lisa – to ja wiedziałem, że przejadę przez granicę i będą spał w wygodnym łóżku w Warszawie. Ale żeby to uczynić, a jednocześnie wydezynfekować nas od wewnątrz – proszę przyjąć flaszeczkę mocnego trunku. Przy bardzo głośnej wymianie zdań poprosiłem sekretarkę o cztery kieliszki, które napełniłem węgierskim „budafokiem”. Powiedziałem: Za zdrowie gości i polskiej weterynarii, na to pan Rubin oświadczył, że toastów nie można łączyć, więc jeszcze po jednym kieliszku.

Pan Rubin pojechał do Janowa Podlaskiego, a za jednego z koni zapłacił prawie milion dolarów. Nie była to zastuga ani moja, ani weterynarii”.

Zastugą polskiej weterynarii była natomiast dobra i bezpieczna sytuacja zdrowotna zwierząt. Nie budziła obaw i zastrzeżeń u importerów, a dokonujący zakupu mogli bez przeszkód nabyte zwierzęta wwozić do krajów o bardzo ostrych rygorach i wysokich wymaganiach, czego przykładem było USA.

Henryk Lis

(Autor był przez wiele lat dyrektorem Departamentu Weterynarii Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej – przyp. Red.)